

KOBRA

KATARZYNA
WASILKOWSKA

Katarzyna Wasilkowska

Kobra

© by Katarzyna Wasilkowska

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:

Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład:

Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-645-8

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwo**literatura**.pl

Piotrowi Vasco, mojemu mężowi,
najlepsze przyjacielowi



PROLOG

Ostatni autobus PKS-u zatrzymał się z głośnym sapnięciem na przystanku oświetlonym jedyną działającą latarnią we wsi. Kimający pasażerowie nawet nie podnieśli głów, kiedy z siatami pełnymi zakupów wysiadała Erwina Paż. Autobus odkaszlnął spalinami i ospale ruszył dalej w noc, zostawiając kobietę na koślawym chodniku.

Przenikliwe zimno smagneło panią Erwinę po odsłoniętych ramionach, aż się wzdrygnęła. Dni były upalne tego lata, w Warszawie nie można było wytrzymać z gorąca, ale wieczorami temperatura gwałtownie spadała. Pani Erwina wiedziała o tym – w obszernej torbie, którą dla wygody zawiesiła sobie na szyi, leżał zabrany rankiem z domu sweterek.

E tam! – pomyślała i rażnym krokiem, w kłapkach na niskich koturnach, obesza przystankową wiatę.

Z tyłu, oparty o popękaną ściankę z pleksi, stał jej lekko przerdzewiały stary rower, z siodełkiem na wypadek deszczu owiniętym reklamówką. Pani Erwina zawiesiła siatki z zakupami po obu stronach kierownicy i pchnęła rower przed sobą.

W torebce oprócz sweterka miała też czołówkę, którą podarował jej na imieniny mąż. Był to bardzo mądry prezent, ponieważ większość roku przemierzała dwukilometrową

drogę między domem a przystankiem zupełnie po ciemku. Nie wiedzieć czemu, we wsi nie było obyczaju używania lampek rowerowych.

Pani Erwina Paż należała do osób niecierpliwych i szkoda jej było czasu na szukanie w torbie sweterka czy latarki. Nie było to rozsądne, gwiazdy świeciły blado i nierówna piaszczysta droga do domu ledwo rysowała się w gęstym mroku. Marząc o kolacji i o ciepłym łóżku, na pamięć ruszyła po wybojach, z ledwością utrzymując równowagę w niewygodnych klapkach. Posapując, co chwilę z irytacją spoglądała w niebo, gdzie za mgłą ledwie odznaczał się wąziutki rąbek księżycy i ani myślał wykrzesać więcej światła.

Piasek chrzęścił pod oponami, świerszcze głośno cykały, a z okolicznych, pogrążonych w całkowitych ciemnościach zabudowań, dobiegało szczekanie psów, tak więc pani Erwina mogła nie zauważyć, kiedy spod płotu cicho oderwał się zakapturzony cień i podążył za nią. Po chwili z przydrożnego zarośniętego rowu wyskoczyła druga postać, która jednak nie była tak bezszelestna jak kompan. Pani Erwina zatrzymała się, nasłuchując.

– Kto to?! – rzuciła ostro, rozglądając się i wyteżając wzrok w ciemności. – Kto tu jest?!

Cienie wymieniły między sobą niezrozumiałe zdania, po czym jeden z nich zapalił latarkę i skierował jaskrawy strumień światła prosto w oczy kobiety, a drugi podskoczył do niej, próbując zerwać torbę z szyi.

Pani Erwina, oślepiąca, puściła rower z zakupami i zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Napastnicy dopadli do niej, czym prędzej zatykając usta, ale kobieta nie była łatwym przeciwnikiem. Szarpała się z całych sił, wydając wściekle odgłosy i ko-

piąc swoich prześladowców po goleniach twardymi klapkami, dopóki jeden nie zerwał ich jej z nóg.

Bandziorów było jednak dwóch, w dodatku całkiem krzepkich, i kiedy pani Erwina zaczynała wyraźnie słabnąć w nierównej walce, okolicą wstrząsnął ciężki warkot.

Stało się to tak niespodzianie, że cała trójka zamarła w swej szamotaninie, zwracając wzrok w kierunku, skąd narastał potężny huk. W oddali drogę rozświetliła luna, coś z dużą prędkością zbliżało się od strony wsi.

Co wydarzyło się w ciągu kolejnych kilku sekund – niezupełnie wiadomo. Tajemniczy pojazd zniknął tak szybko, jak się pojawił. Zniknęła także pani Erwina Paż ze swoim rowerem, torebką i zakupami.

W ciemnościach i kłębach kurzu na drodze stało dwóch przerażonych bandytów. Jeden z nich wciąż ścisnął w dłoni kłapek na niskim koturnie.

* * *

Im bardziej Tomek zbliżał się do swojego mieszkania, tym bardziej zwalniał kroku. W końcu zatrzymał się, a sportowa torba z rzeczami z basenu zsunęła mu się z ramienia na schody.

Zza drzwi wyraźnie dobiegały zdenerwowane głosy. Oczywiście podniesiony głos mamy nie był niczym dziwnym, często zdarzało jej się krzyczeć na Heniutkę, a czasem na Tomka, ale tym razem było słyhać jeszcze kogoś. Kogoś dorosłego. A to było już z pewnością bardzo dziwne. Tomek nie pamiętał, żeby kiedykolwiek odwiedził ich w domu na Różowej ktoś dorosły.

Niestety, nie można było w ogóle rozróżnić słów. W końcu zapadła cisza, a po chwili drzwi otworzyły się i wyszła z nich nieznajoma starsza pani.

Mijając Tomka, zatrzymała się i spojrzała na niego tak dziwnie, że aż mu się zrobiło ciepło. Potem poklepała go po ramieniu i zeszła na dół. Chłopiec stał jeszcze moment, po czym podniósł torbę i wszedł do domu.

– Mamuś, co to za pani? – zapytał mamę, stojącą w kuchni przy oknie. – O co chodzi?

– Dajcie mi wszyscy święty spokój! – zawołała mama roztrzęsionym głosem.

Tomek wycofał się z kuchni.

Nie znosił, kiedy tak się zachowywała. Za każdym razem czuł się jak postać z kreskówki, której nagle spod stóp znika podłoga. Do czegoś takiego nie można się przyzwyczaić.

Tomek był głodny, jak zwykle po basenie, ale pomyślał, że jeszcze chwilę odczeka, niech się mama pozbiera. Rozpakał torbę, rozwiesił mokre rzeczy i zajrzał do pokoju Heniutki.

Siostra siedziała na podłodze i malowała włosy swoim lalkom.

– Bawisz się w salon fryzjerski? – zagadnął.

– Nie – odparła Heniutka, nabierając na pędzel turkusową farbę. – Likwiduję blondynki.

Rzeczywiście, na gazecie leżały pokotem wyłącznie jasnowłose Barbie, wszystkie inne lalki siedziały jak zwykle na półkach.

– Co masz do blondynek? – zaciekawiał się Tomek. – Uważasz, że są głupie? To stereotyp, wiesz?

– Nie wiem, co to za typ. – Heniutka wzruszyła ramionami.

– Te z ciemnymi włosami opowiadają wciąż kawały o blon-

dynkach, a blondynki się obrażają. Sytuacja stała się nie do wytrzymania, nie możemy się już normalnie bawić. Musiałam zainternetować, jestem za nie odpowiedzialna, bądź czy nie bądź.

– Zainterweniować – poprawił ją Tomek z uśmiechem.

– Może i tak – zgodziła się Heniutka, wycinając nożyczkami różowego irokeza. – To była nasza babcia, wiesz?

– Kto? – zapytał głupio Tomek, chociaż od razu wiedział, o kim mowa. Po prostu go zatkało.

– No, ta pani, co krzyczała na mamę – wyjaśniła spokojnie Heniutka. – To znaczy najpierw nie krzyczała, tylko była zwyczajnie miła. Ale potem mama zaczęła płakać i krzyczeć, żeby ta pani babcia się wynosiła. I żeby wszyscy dali jej święty spokój. To wreszcie ta pani babcia też się wnerwiła.

Tomek oddychał głęboko, a przed oczami miał twarz tej obcej kobiety. Myślał o tym, jak zajrzała mu w oczy, i że wyglądała jakoś znajomo, chociaż był pewien, że nie spotkał jej nigdy przedtem.

– Czy mama robi nam krzywdę? – Heniutka wyrwała go z zamyślenia.

– Jak to? – Tomek nie nadązał za siostrą.

– Ta babcia tak powiedziała. Że mama nam robi krzywdę i że sobie też robi.

Tomek westchnął i poszedł do swojego pokoju, po drodze zaglądając do kuchni. Mama nadal stała przy oknie, opierając głowę o szybę.

Usiadł przy biurku i sięgnął po komórkę. Żeby tak chociaż mógł porozmawiać z Jowanką!

Niestety, jego najlepsza przyjaciółka wyjechała na wakacje. Po długich namowach w końcu udało się jej wyciągnąć

swojego tatę na wyprawę. Zabrali tylko rowery, plecaki i namiot. Żadnych telefonów i komputerów, taki był warunek. Teraz wędrują gdzieś po Szwajcarii Kaszubskiej. Ale musi być szczęśliwa! – uśmiechnął się Tomek.

Otworzył galerię zdjęć w telefonie. Jowanka, Franek, Dominik, Wawrzek, no i Tomek dostali niezłej głupawki na zakończeniu roku...

– Słuchaj, synek. – Mama stanęła w progu. Tomek odłożył telefon i spojrzał na nią wyczekująco. Gryzła w zamyśleniu kosmyk włosów, jakby właściwie nie wiedziała, co chce powiedzieć. – Jest taki plan, żebyś pojechał na wakacje na wieś – odezwała się wreszcie i oparła głowę o futrynę.

Tomek pomyślał, że mama ostatnio ciągle kładzie na czymś głowę. Nawet kiedy jadła, podpierała brodę ręką. Jakby miała za słabą szyję.

– Co powiedziałaś? – Z opóźnieniem dotarł do niego sens tego, co usłyszał. – Na jaką wieś? Co za plan? Przecież jadę na obóz!

– Wiem, wiem – odparła zniecierpliwionym głosem. – Kiedy masz ten obóz? W sierpniu dopiero jakoś, nie?

– Tak – przytaknął Tomek. – Ostatnie dwa tygodnie wakacji.

– Nie mamy jeszcze połowy lipca, możesz pojechać na cały miesiąc – powiedziała.

– Mamuś, weź mi to wytłumacz. – Tomek czuł się coraz bardziej zagubiony. – Skąd nagle ta wieś? Nigdy nie byłem na wsi. Czy to chodzi o tę panią? Heniutka mówi, że to nasza babcia.

– Tak, to wasza babcia. Mama taty – odrzekła mama niechętnie. – Wiesz, pogadamy o tym jutro, muszę sobie poukładać to w głowie – dodała, odchodząc.

Tomek pomyślał, że on też musi sobie coś ułożyć w głowie, zanim mu pęknie od nadmiaru wrażeń i nowych, niejasnych wiadomości.

Zatem miał babcię! Zawsze marzył o dziadku albo babci, a teraz, kiedy dowiedział się, że ktoś taki istnieje, nie miał pojęcia, co z tym zrobić. Nie umiał powiedzieć, co czuje, nie wiedział nawet, czy się cieszy, czy nie.

Całe życie byli sami – mama, tata i on. Później urodziła się Heniutka i zaraz potem był ten straszny wypadek. Tata zginął, a Tomek stracił nogę.

I znowu żyli tylko we trójkę – mama, Heniutka i on. Tomek wiedział, że mama była z domu dziecka i nigdy nie chciała rozmawiać o swoim dzieciństwie, strasznie denerwowały ją wspomnienia.

Kiedy pytał tatę o dziadków, zawsze słyszał tylko: „Niektórzy nie mają dziadków. Ty nie masz, kropka”.

W końcu uwierzył, że są najmniejszą rodziną na świecie, i nauczył się, że żeby żyć w miarę spokojnie, o niektóre rzeczy rodziców pytać nie należy.

Kiedy rozmyślał, jego palce nieświadomie błędziły po ekranie telefonu i teraz zauważył, że wyświetliło się na nim stare zdjęcie.

– O ja cię, Gilotyna! – wyszeptał.

Na fotografii sprzed dwóch lat, w bazie pod Gilotyną byli wszyscy jego przyjaciele. Jakie dzieci! – pomyślał. Przyjrzał się sobie – złotowłosa, kędzierzawy blondynek z nieśmiałym uśmiechem, Tomaszek, tak na niego mówili. Dwa lata, całe wieki. Nagle poczuł się dorosły i pożałował siebie ze zdjęcia. Szkoda, że nie mogę być swoim starszym bratem. Byłbym dla siebie bardzo dobry.

Gilotynę, czyli jabłoń jedyną w swoim rodzaju, wycięto, w miejscu starego sadu stały dziś nowe bloki. Kryjówka do tajnych spotkań nie była im dłużej potrzebna. Każdy miał swoje zajęcia, a kiedy chcieli się spotkać, po prostu to robili. Łazili po osiedlu, umawiali na konsolę albo jechali do miasta.

Tomek trenował wyczynowo pływanie, a od roku oswajał się z wymarzonym aikido.

Jowanka każdą wolną chwilę spędzała w Pałacu Młodzieży na Ogarnej, uczyła się rysunku i lepiła jakieś garnki.

Dominik i Wawrzek zapisali się do szkoły piłkarskiej Lechii, noga i klub stały się dla nich najważniejsze na świecie.

Tomek spojrział na szeroki uśmiech Franka przytulonego do kudłatego psa.

Tak naprawdę odkąd usłyszał o tajemniczej babci, ciągle myślał o Franku. Z całej siły powstrzymywał się, żeby do niego nie zadzwonić.

Według Tomka Franek miał rodzinę marzeń. Jego rodzice byli troskliwi, ale wyluzowani, nigdy nie czuło się tam nerwowej atmosfery. Pies Wiking był jedynym psem na świecie, którego Tomek się nie bał. No i jeszcze dziadek!

Dopóki dziadek Franka mieszkał w Gdańsku, często odwiedzali go całą paczką. Mogli z nim gadać o wszystkim, zawsze miał dla nich czas. Sam też znał całe mnóstwo historii, opowiadał o swoich strasznych albo śmiesznych przygodach z rejsów po całym świecie. Właśnie takiego dziadka Tomek zawsze chciał mieć.

Ale ostatnio u Franka nie było wesoło. Dziadek przeniósł się do domu spokojnej starości w Gdyni, gdzie Franek nie mógł go zbyt często odwiedzać. W dodatku niedawno miał zawal i leżał w szpitalu.

Na domiar złego na początku wakacji umarł Wiking. Co z tego, że wszyscy wiedzieli, że był bardzo stary? Franek znał go całe swoje życie, był jego rodziną, przyjacielem, także członkiem gangu.

Tomek pomyślał, że teraz znalazł się w lepszej sytuacji od Franka, który nawet nie miał siostry. Ani babci.

Kiedy więc nagle zadzwonił mu w rękę telefon, a na wyświetlaczu pojawił się napis „FRANEK”, zaskoczony Tomek gapił się na niego dłuższą chwilę, zanim odebrał.

– Hej! – usłyszał w słuchawce radosny głos przyjaciela. – Pomyślałem, że ci powiem. Byłem dziś u dziadka w szpitalu, zrobili mu operację, powkładali jakieś nowe żyły, jakieś baloniki czy sprężynki... Dziadek trochę słaby, ale już nawija. Ma robić ćwiczenia, tata mówi, że teraz to pożyje dwie dychy albo dłużej! Może wpadniesz do mnie, co?

– Jasne, lecę! – rzucił przejęty Tomek i zerwał się od biurka. Cofnął się jednak i przysiadł przy komputerze.

Zgrał zdjęcie spod Gilotyny i wydrukował.

Nie była to fotografia najlepszej jakości, ale chciał zanieść ją Frankowi na pamiątkę starych czasów, w których dziecinnie myśleli, że przygody czekają za każdym rogiem, wystarczy je tylko upolować.



DĘBOWY BOREK

Kiedy zgasło ostatnie światło i wieś mościła się do upragnionego snu, awanturniczy okrzyk przeszył mrok. Po chwili rozległ się prostacki śmiech.

Psy zaczęły szczekać jak szalone, a dziki, które wybrały się na pole podjeść wczesnych kartofli, zawróciły do lasu. Mieszkańcy nerwowo wiercili się pod kołdrami.

Jedni uspokajali się w myślach, że to tylko wygłupy wiejskich łobuzów, inni martwili się, że ostatnimi czasy czują się coraz mniej bezpiecznie we własnych domach, jeszcze inni mieli nadzieję, że ktoś może w końcu zadzwoni po policję.

Tymczasem hałas przybierał na sile, po okolicy niosły się wrzaski, wulgarne śpiewy i łoskot przypominający walenie w blachę.

I wtedy ponad całym tym jazgotem przetoczył się głuchy huk, niczym odgłos nadciągającej burzy. Umilkł na chwilę i znowu zadudnił, tym razem dłużej, jak przejeżdżający w od dali pociąg towarowy.

Przecucie, że to ani burza, ani pociąg, kazało mieszkańcom wystawić głowy spod kołder i nasłuchiwać.

Trzy szerokie opony z wielką prędkością pruły szutrową drogą, pozostawiając za sobą, oświetlony czerwonym światłem pozycyjnym, gęsty tuman pyłu.

Silnik zmniejszył obroty i metaliczny warkot zmienił się w groźny, ogłuszający bas. Pojazd zwolnił i zdecydowanie skręcił z drogi prosto w ścianę lasu.

Widać kierujący świetnie znał teren, bezbłędnie trafił w dukt, niewidoczny z drogi nawet za dnia. Mocny snop z przedniej lampy dokładnie wycinał w ciemności tunel między drzewami i ścieżką ze splątanych korzeni.

W końcu jakiś mur za drzewami odbił światło reflektora. Las stał się rzadszy i mur okazał się ścianą z falistej blachy, która zbliżała się w szybkim tempie.

Coś trzasnęło i wehikuł rozmigotał się nagle dziesiątkami żarówek, wyrzucając przy tym kłęby białego dymu. Z wizgiem wjechał na podwórko, zatrzymując się na samym środku.

Z dymiącego pojazdu zsunęła się postać, minęła sparalizowanych strachem młodych typków, którzy jeszcze przed chwilą radośnie tłukli butelki po tanim winie na blaszanym warsztacie wulkanizacyjnym, i podeszła do dwóch innych, kulących się pod płotem. Obok stał kanister z benzyną i piętrzyły sterty opon.

Tajemniczy jeździec wyjął zza pasa potężny bicz i świsnął nim nad głowami kucających osobników. Potem powiedział coś, co usłyszeli tylko oni, choć cała reszta mocno nastawiała uszu.

Wolnym krokiem wrócił do swojej maszyny, popatrzył jeszcze chwilę na dygoczącą hałastrę i odjechał w las.

* * *

Było późno. Mama leżała na sofie zwinięta w kłębek, oświetlona jedynie sinym blaskiem migającego ekranu telewizora.

– Co oglądasz? – zapytał Tomek, przysiadając obok. Wiedział, że tylko bezmyślnie skacze po kanałach, ale chciał, żeby w końcu coś powiedziała.

Mama odłożyła pilot i popatrzyła na syna.

– Ta wieś nazywa się Dębowy Borek, to jest pod Warszawą, sprawdzałam w internecie – odezwała się wreszcie zmęczonym głosem. – Wsiądziesz w Gdańsku, a babcia odbierze cię na Centralnym w Warszawie. Dalej pojedziesz z nią. Poradzisz sobie, nie jesteś już mały, prawda? – zapytała łagodnie, prawie czule, aż Tomka ścisnęło w gardle. Rzadko mówiła takim tonem i nigdy nie wiedział, jak się wtedy zachować, chociaż przecież cały czas tęsknił do odrobiny serdeczności. Odchrząknął, przełknął ślinę i nabrał powietrza, opanowując się, żeby nie pomyślała przypadkiem, że jest jeszcze mały.

– Jasne. – Wzruszył ramionami najbardziej beztrosko, jak potrafił. – Pytanie, jak wy sobie poradzicie. Przecież masz pracę, kto się zajmie Heniutką?

– Wszystko załatwione – mama ożywiła się trochę i usiadła, podciągając nogi pod brodę. – Przede wszystkim od kilku lat nie brałam urlopu. Szef nawet się ucieszył, powiedział, że niepokoją go pracownicy, którzy nie odpoczywają. Zgodził się na miesiąc. Poza tym przedszkole Heniutki ma dyżur wakacyjny i mogę ją tam zostawiać. Zresztą Zosia, opiekunka, też ma teraz wakacje i nigdzie nie wyjeżdża, w razie czego chętnie posiedzi z małą.

– Ej, ale po co przedszkole, jeśli bierzesz urlop? – zapytał Tomek.

– No właśnie – mama pokiwała głową. – Widzisz, ja zaczynam terapię. I to taką intensywną, po kilka godzin dziennie. Codziennie oprócz weekendów.

– Terapię? Rehabilitację? – zaniepokoił się Tomek, który rehabilitację znał dobrze z własnego doświadczenia po wypadku. – Jesteś chora, mamuś?

– Chora? W pewnym sensie... Terapię psychologiczną – uściśliła mama. – Twoja babcia bardzo mnie zdenerwowała tą wizytą. Ale potem dotarło do mnie, że może ma rację. Powiedziała mi różne przykre rzeczy, na przykład, że nie zajmuję się wami jak należy, że macie prawo poznać swoją rodzinę. Wiesz, tata uciekł z rodzinnego domu, kiedy był bardzo młody.

– Czemu? – zapytał Tomek.

– Nie wiem. Czasem mówił, że uciekł, bo nie mógł wytrzymać, a czasem, że ojciec go wypędził. W każdym razie nigdy tam nie wrócił i ja też nie poznałam moich teściów. Aż do tej wizyty.

– O jeny... – ciągle było to dla Tomka zbyt trudne do ogarnięcia.

– Twoja babcia jakimś sposobem zawsze nas namierzała. Przysyłała kartki na święta, tata wszystkie wyrzucał. Nie wiem, jak dowiedziała się o twoich narodzinach, ale od tego momentu co jakiś czas przysyłała mi pieniądze, zaznaczając, że to dla ciebie. Potem także dla Heniutki. Nie mam pojęcia, czy wiedziała o wypadku i czy była na pogrzebie. Ja wtedy, wiesz, nie bardzo kontaktowałam, nie przyszło mi nawet do głowy, żeby ją zawiadomić, chociaż znałam adres z przekazów pieniężnych. Po śmierci taty pieniędzy przysyłała trochę więcej i częściej, a kiedy wróciłam do pracy, kwoty się zmniejszyły, ale nadal nadchodziły.

– A ta babcia nic nie mówiła o tacie? No wiesz, czemu od nich uciekł? – dopytywał dalej Tomek.

– Nie... – mama zawahała się, ale już nic nie dodała.

Chwilę siedzieli w milczeniu, w końcu Tomek się odezwał:

– Myślałem, że ta wieś to tu blisko, gdzieś na Kaszubach. A to aż w środku Polski.

– Tak – przytaknęła mama.

– Jesteś pewna, że z Heniutką nie będzie kłopotu? Ta twoja terapia... A jeśli nie zdążysz na czas odebrać jej z przedszkola? A jak Zosi coś wypadnie? Wiesz, jak jest. Nie chcę, żeby Heniutka się bała, żeby myślała, że o niej zapomnieliśmy.

– Wszystko zaplanowałam, możesz być spokojny. Zosia to plan B, ale mam też plan C, a nawet D. Nie martw się, synek. Będzie dobrze, lepiej. Idź spać.

Tomek, lekko spięty, siedział na brzegu fotela w pociągu przy oknie i machał mamie i Heniutce.

Nawet nie czuł się niewyspany, choć całą noc tylko przewracał się z boku na bok, a myśli rozwierteły mu głowę jak sito. Oczywiście obawiał się podróży, starał się nie wyobrażać sobie, jak pociąg wylatuje z torów albo wpada na inny (na przykład taki z cysternami z benzyną) czy jakimś sposobem omija Warszawę i wywozi go na pustkowia.

Jednak najgorsza była ta zimna igielka, która kłuła go boleśnie w serce, ile razy uśmiechał się do nich przez szybę. To głupie, ale czuł się winny bardziej, niż kiedy wyjeżdżał na obozy sportowe czy wycieczki klasowe.

Nie lubił zostawiać mamy samej, właściwie nie wiadomo dlaczego, była przecież dorosła, a on miał tylko jedenaście lat. Na co mógł się przydać poza dopilnowaniem Heniutki od czasu do czasu?

Miał wyrzuty sumienia, że będzie się gdzieś dobrze bawił, a mama zostanie smutna albo zdenerwuje się na Heniutkę...

Na szczęście pociąg ruszył i peron został w tyle. Tomek patrzył chwilę przez okno na mijaną Orunię, po czym pomyślał, że czas coś przekąsić, i wyjął jedną z trzech kanapek, które mama zapakowała mu na drogę.

Do każdej dołączony był liścik z rysunkiem od Heniutki. Tomek ugryzł porządną kęs i rozwinął karteczkę.

Zobaczył przekreśloną ogromną rozdziawioną gębę otoczoną kawałkami pomidora i fontannami kropel. Pod rysunkiem biegł napis:

!! Etramiżalamy nie mlaskamy !!

Tomek uśmiechnął się i pociągnął łyk wody z butelki. Przecież musiał przyznać, że mama na peronie była w wyjątkowo dobrym nastroju. Może naprawdę ich życie się odmieni?

Rozejrzał się po pociągu. Nowoczesne i jasne wnętrze bezprzedziałowego wagonu pendolino wyglądało przyjaźnie. Pociąg sunął wyjątkowo cicho i miękko. Tomek wreszcie trochę się rozluźnił.

Usiadł wygodnie w fotelu i zajadając kanapkę, otwierał kolejne liściki od siostry:

Instrukcja niebekania

Jak ci idzie bek do buzi to zaciskaj oczy
i usta scalych silow az bek sie rozpuscia
w glowie
i wyjdzie powichu Usrami
jak sie nieuda to przepros'
a ktos' powije sie nieszkodni



Oraz:

Nie rólupaj!
Urzuwaj małe łyżki wody lub soku
mlekturzych osub obrydka chałas z gardła,
mo ale jak niemasz ślomy to co po radzić?

A na rysunku gęba przyklejona ustami do niebieskiej butelki.

Tomek złożył starannie karteczki z poradami od Heniutki i wsunął do kieszeni. Patrzył na migający za szybą krajobraz i starał się przypomnieć sobie, jak wyglądała babcia. Widział ją tylko chwilę.

W końcu doszedł do wniosku, że jest niewysoka, w miarę pulchna, ma rumiane pomarszczone policzki, wesołe błękitne oczy (jak on i tata) i kręcone włosy (jak on i tata), tylko już śnieżnobiałe od starości i upięte w kok.

Wyobrażał sobie, jak może wyglądać dzień na wsi. Spróbował przypomnieć sobie jakąś opowieść Dominika. Ten, po przeprowadzce z Rusocina, na okrągło porównywał życie miejskie i wiejskie, opowiadał o gospodarstwie, o swoich pszczołach. Potem przyzwyczał się do miasta i przestał.

Dobra, to jak to będzie? Rano wstaną, pójdą nakarmić krowy, świnie, kury, może konie...

Potem sami zjedzą coś, jakieś wiejskie śniadanie, potem pogawędzą na ganku – babcia na pewno usiądzie w bujanym fotelu.

Później zrobi obiad, a on w czymś pomoże, na przykład zamiecie podwórko albo przyniesie wody ze studni – na filmach o wsi zawsze ktoś zamiata podwórko albo przynosi wodę ze studni.

No i będą oglądać seriale, bo wszystkie babcie oglądają seriale... I paść krowy na łące... na pastwisku... a dookoła zboże przyjemnie szumi...

Ktoś potrząsnął go za ramię.

– Hej, przyjacielu, wysiadasz! Warszawa Centralna za dwie minuty – powiedział, nachylając się nad nim, konduktor.

Tomek poderwał się jak oparzony. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Babcia! Żeby tylko zdążył wysiąść...

Pospiesznie zbierał manatki, co chwilę rzucając spanikowane spojrzenia za okno. Było ciemno, chyba jechali pod ziemią.

Przewiesił podręczną torbę przez ramię i podszedł do wyjścia, po drodze zabierając swoją walizkę na kółkach. Szybko sprawdził mocowanie dwóch kul ortopedycznych. Cały ranek kombinował, w jaki sposób bezpiecznie przypiąć je do walizki, ale widać patent z gumami od ekspandera zdał egzamin.

Tomek stanął przy samych drzwiach. Na zewnątrz pojawiły się elektryczne światła.

Pociąg wjeżdżał na stację.

Tomek siedział cicho na przednim siedzeniu w ciemnozielonym tico i ukradkiem zerkał na babcię, która, mrużąc coś pod nosem, włączała się właśnie do ruchu pod Złotymi Tarasami.

– Jak ja nie lubię jeździć po Warszawie autem! – pokręciła gniewnie głową, a Tomek na wszelki wypadek skulił się trochę.

No cóż, nie była pulchną rumianą staruszką. Wyglądała raczej jak stara Indianka, dosyć wysoka i koścista. Siwe włosy zaczesane miała gładko do tyłu i spięte płaską klamerką.

– Byłeś kiedy w Warszawie? – zagadnęła. Niski głos brzmiał przyjaźnie, choć zdecydowanie. Jej słowa są miękkie, a zdania twarde – zauważył w myśli Tomek.